

Święty Brat Albert, Adam Chmielowski

Część I



<http://www.albertyni.opoka.org.pl/>

Tej nocy, towarzyszyć nam będzie w naszej pielgrzymce święty Brat Albert, czyli Adam Chmielowski, którego w Litani Pielgrzymstwa Narodu Polskiego wzywamy jako opiekuna biedoty krakowskiej.

Życie Adama Chmielowskiego można podzielić na dwa wyraźnie różniące się od siebie okresy. Pierwszy, w którym próbował odnaleźć się on jako artysta – malarz i drugi, kiedy już jako Brat Albert, porzucił swój talent, by służąc ludziom mógł służyć Bogu. Warto zaznaczyć, że Chmielowski nie był przeciętnym malarzem, był on malarzem którego podziwiali inni, tak wielcy artyści, jak choćby Józef Chełmoński, bracia Maksymilian i Aleksander Gierymscy, Jacek Malczewski, Leon Wyczółkowski, Stanisław Witkiewicz i wielu, wielu innych. Chmielowski należał do tego świata artystów i z wieloma z nich dobrze się znał

a często i przyjaźnił. Dlaczego więc, tak świetnie zapowiadający się artysta – malarz, zrezygnował ze sławy i życia w dobrobycie? Jedną z odpowiedzi na to pytanie, możemy znaleźć w liście, który napisał on do wielkiej artystki scen polskich i amerykańskich, z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, Heleny Modrzejewskiej, posłuchajmy: *„Już nie mogłem znosić tego złego życia, którym nas świat karmi, nie chciałem już dłużej tego ciężkiego łańcucha nosić. Świat, jak złodziej, wydziera co dzień i w każdej godzinie wszystko dobre z serca, wykrada miłość dla ludzi, wykrada spokój i szczęście, kradnie nam Boga i niebo. Dla tego wszystkiego wstępuję do zakonu; jeżeli duszę bym utracił, cóż by mi zostało? Słowacki, którego Pani tak bardzo lubi, mówi, że »talenta są to w ręku szalonych latarnie; ze światłem idą topić się do rzeki«. Jakież to okropne, a jakże często prawdziwe. Choć nie wiem, czy talent mam, czy tylko talencik, to wiem jednak z pewnością, że jestem w drodze do powrotu znad samego brzegu tej smutnej rzeki, a wielu ich pochłonęła, tych nieszczęśliwych topielców, i wielu wciąż pochłania! Sztuka i tylko sztuka, byle jej uśmiech albo cień uśmiechu, byle jedna róża z wianka bogini, bo z nią sława i dostatek, i osobiste zadowolenie – mniejsza o resztę; gubi się w szalonej gonitwie rodzinę, moralność, ojczyznę, związek z Bogiem, wszystko, co dodatnie i święte - lata uciekają, organizacja fizyczna niszczy a z nią i talent tak zwany. (...) Wiele myślałem w życiu, kto jest ta królowa - sztuka, i przyszedłem do przekonania, że jest to wymysł ludzkiej wyobraźni, a raczej straszne widmo, które nam rzeczywistego Boga zastania. Sztuka, to tylko wyraz i nic innego, dzieła tak zwanej sztuki to zupełnie przyrodzone objawy naszej duszy, są to nasze własne dzieła i mówiąc po prostu, dobra jest rzecz, że je robimy, bo to naturalny sposób komunikacji i porozumienia się między nami. Ale jeżeli w tych dziełach kłaniamy się sobie, a oddajemy wszystko na ofiarę, to choć to się nazywa zwykle kultem dla sztuki, w istocie rzeczy jest tylko egoizmem zamaskowanym; ubóstwiać siebie samego - to przecież*

najgłupszy i najpodlejszy gatunek bałwochwalstwa¹... ”.

Nasz bohater urodził się 20 sierpnia 1845 r. w Igołomii pod Krakowem, na granicy zaborów rosyjskiego i austriackiego.

26 sierpnia nadano chłopcu imiona Adam Bernard chrzcząc go tylko tak zwanym chrztem z wody „, z przyczyny odległości chrzestnych rodziców²”. Chrzest z wody jest to skrócona formuła polegająca tylko na polaniu główki dziecka wodą i wypowiedzenia formuły chrzcielnej, bez żadnych dodatkowych obrzędów.

Chrztu dokonał pleban Igołomski ksiądz Józef Stanko a obecni byli, ojciec dziecka Adalbert Chmielowski, naczelnik komory celnej w Igołomii i dwóch świadków, również pracowników komory celnej.

Dopełnienie ceremonii chrztu odbyło się dopiero dwa lata później 27 czerwca 1847 roku w kościele Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Warszawie.

Podczas uroczystości dodano dziecku jeszcze trzecie imię Hilary. Były aż dwie pary rodziców chrzestnych, pan Hilary Ostrowski, Radca Stanu, Dyrektor Wydziału Dochodów Stałych w Komisji Rządowej przychodów i skarbu i pani Joanna Borzysławska oraz pan Jan Kłodnicki, Sędzia Apelacyjny w Warszawie i pani Aleksandryna Grabowska, młodsza siostra matki dziecka³.

W kilku biografjach Adama Chmielowskiego pojawiło się stwierdzenie, jakoby podczas uroczystości obecni byli również żebracy, gdyż „*dziecko było tak wątłe i słabe, że rodzice uciekli się do pobożnego podstępu. Zaprosili przebywających przed kościołem żebraków, by łącznie z rodzicami chrzestnymi trzymali je nad chrzcielnicą i by tym sposobem spłynęło na nie »błogosławieństwo ubogiego«⁴”.*

W obu metrykach urodzenia nie ma jednak na ten temat żadnych zapisów. Pierwsza metryka pochodzi z Igołomii, gdzie nie było chrzestnych tylko dwóch świadków, kolegów ojca z pracy a druga z Warszawy, gdzie wymieniono,

¹ Ks. Konstanty Michalski, *Brat Albert*, Kraków 1984, s.151-152.

² Ks. Konstanty Michalski, art. *Data urodzin brata Alberta*, w *Nasza Przeszłość* nr III, Kraków 1947, s. 214.

³ S. Magdalena Kaczmarzyk, *Trudna miłość święty Brat Albert Chmielowski w służbie najbiedniejszym*, Kraków 1990, s. 9.

⁴ Maria Winowska, *Opowieść o człowieku, który wybrał większą wolność*, Kraków 1992, s. 10-11.

pochodzących „z grona krewnych i przyjaciół⁵”, aż czworo rodziców chrzestnych. Nie można jednak zupełnie odrzucić, tych niby „nie sprawdzonych opowiadań⁶” o współudziale żebrzących przy uroczystości chrztu, gdyż wypowiedział je sam Adam Chmielowski a przytoczył je, jego spowiednik, ks. Czesław Lewandowski, posłuchajmy: „*rodzicami chrzestnymi byli, jak sam brat Albert o tym nieraz mówił, żebracy spod kościoła, że niby tacy, według ówczesnego pobożnego mniemania, mieli ściągnąć na dziecko błogosławieństwo Boże i zdrowie, które podobno było zagrożone⁷”.*

Również pani Maria Winowska cytowała słowa Adama Chmielowskiego na ten temat: „*Wspominając kiedyś ten szczegół [swój chrzest], Adam powie: »Życie me doczesne ubogim zawdzięczam, do nich więc ono całkowicie należy«⁸”.*

Naturalnymi rodzicami Adama, byli wspomniany już Adalbert czyli Wojciech Chmielowski, „*potomek starej [ale zubożałej] szlacheckiej rodziny herbu Jastrzębiec⁹”* oraz Józefa z Borzysławskich (herbu Śreniawa).

Kiedy Adam był kilkuletnim dzieckiem, matka w podzięce za uzdrowienie chorowitego syna, wzięła go na pielgrzymkę do cudownego obrazu Chrystusa Ukrzyżowanego w Mogile pod Krakowem.

Gdy miał siedem lat zmarł mu ojciec. W roku 1857 Adam, rozpoczął naukę w petersburskiej szkole kadetów, ale gdy po rocznej nauce matka zauważyła u niego mocne znamiona rusyfikacji, wypisała go z tej szkoły i przeniosła do drugiej klasy gimnazjum w Warszawie.

Niestety, w następnym roku zmarła również i matka, więc Adam, razem z trójką młodszego rodzeństwa, braćmi Stanisławem i Marianem oraz siostrą Jadwigą, dostał się pod opiekę ciotki, Petroneli Chmielowskiej.

⁵ S. Magdalena Kaczmarzyk, *Trudna miłość...*, s.219.

⁶ O. Władysław Kluz, *Adam Chmielowski Brat Albert*, Kraków 1982, s. 16.

⁷ Ks. Czesław Lewandowski, *Brat Albert*, Kraków 1927, s. 10.

⁸ Maria Winowska, *Opowieść o człowieku...*, s. 11.

⁹ O. Bernard od Matki Bożej, *Duchowość brata Alberta*, Kraków 1938, s. 17.



Z rodzeństwem. Od lewej - Adam, Stanisław, Marian, Jadwiga
<https://www.albertynki.pl/brat-albert/brat-albert-zycie/>

Po ukończeniu gimnazjum, w roku 1861 rozpoczął on studia w Instytucie Politechnicznym i Rolniczo-Leśnym w Puławach.

Wtedy też, Adam Chmielowski włączył się w działalność konspiracyjną a po wybuchu powstania styczniowego, razem z kilkoma kolegami z Instytutu, wstąpił do oddziałów powstańczych. W czasie walk z Rosjanami dał przykład olbrzymiej odwagi a nawet brawury, posłuchajmy opisu jego zachowania: *„Kule świszczą wokół jego głowy. Na próżno. Żadna go nie draśnie. »Charakternik« – mówią zdumieni ludzie. W końcu on sam zaczyna wierzyć, że kula go nigdy nie dosięgnie¹⁰”*.

W czasie jednej z potyczek, w zamieszaniu bitewnym, uchodząc przed Rosjanami, przekroczył ze swoimi kolegami granicę austriacką. Tam zostali aresztowani przez Austriaków i osadzeni w więzieniu w Ołomuńcu, skąd dosyć szybko uciekli. Dzięki pomocy czeskiego księdza, który ukrył uciekinierów i zmylił pogoń, przedostali się z powrotem na teren zaboru rosyjskiego. Tu przyłączyli się do oddziału powstańczego dowodzonego przez pułkownika

¹⁰ Maria Winowska, *Opowieść o człowieku...*, s. 17.

Zygmunta Chmieleńskiego, bardzo porywczego naczelnika wojsk powstańczych w województwie krakowskim. Adam Chmielowski służył w plutonie kawalerii jako podoficer. Pewnego razu, niewiele brakowało a zginąłby nasz bohater z ręki swojego gwałtownego dowódcy, który za najmniejsze nieposłuszeństwo karał śmiercią. Otóż, gdy powstańcy zatrzymali się na odpoczynek, Chmielowski otrzymał rozkaz, aby ustawić żołnierzy ze swojego plutony na posterunkach wokół obozu. Taką wartę nazywano w tamtych czasach pikietą. W czasie kiedy rozstawiał tę pikietę, nadciągnęli Rosjanie, którzy otoczyli powstańców i zaczęli ich ostrzeliwać. Pułkownik Chmieleński natychmiast wydał rozkaz do obrony a kawalerii rozkaz formowania kolumny. Wtedy też, tylko jeden pluton stanął do frontu a z drugiego plutonu, stawiło się tylko kilku ludzi, bo reszta była na posterunkach, gdzie rozstawił ich Adam Chmielowski. I kiedy on „wróciwszy z pikiety, które rozprowadzał, przybywa na plac boju; Chmieleński, obaczywszy go, spina ostrogami konia i sadzi wprost na niego, a dopadłszy go w największym gniewie i nie przebierając w wyrazach zapytuje, gdzie jest pluton, a nie czekając odpowiedzi i nie dawszy mu się wytłumaczyć, łapie za swój rewolwer, lecz nie mógł go wyciągnąć z pochwy skórzanej; szczęście to było dla niewinnie napadniętego Chmielowskiego, iż rewolwer zaplątał się był w pochwie, bo w przeciwnym razie byłby mu pułkownik z pewnością w łeb palnął. Struchleliśmy wszyscy, duch w sobie tamując, w oczekiwaniu strasznej chwili, kiedy trup nieszczęśliwego Chmielowskiego runie z konia o ziemię. Z krótkiej tej chwili, podczas której Chmieleński starał się rewolwer swój rozplątać, skorzystał Chmielowski i wytłumaczył się, iż cały prawie jego pluton znajduje się na pikietach, a nie otrzymał rozkazu ściągnięcia tychże¹¹”. Bogu dziękować ochłonał dowódca ze swego gniewu i zajął się prowadzeniem walki z Rosjanami. Wypadki o których teraz usłyszymy, opisał ksiądz Czesław Lewandowski, „który usłyszał je z ust samego Adama Chmielowskiego¹²”.

¹¹ Alicja Okońska, *Adam Chmielowski Brat Albert*, Warszawa 1999, s. 219.

¹² O. Władysław Kluz, *Adam Chmielowski...*, s. 31.

Podczas walk pod Mełchowem, który leży około 40 kilometrów od Częstochowy, pluton Chmielowskiego stał w rezerwie. Dowódca plutonu, co jakiś czas, wysyłał posłańców do pułkownika Chmieleńskiego z pytaniem co robić ale żaden z trzech posłańców nie wrócił. W końcu wysłany został Chmielowski, i jemu udało się dotrzeć do pułkownika, który: *„stał na pagórku konno, badając przy pomocy lornetki przebieg walki. Poza nim był wąż, a dalej 200 do 300 kroków w krzakach rozrzucony byli strzelcy finlandzcy, cała kompania z dowódcą rosyjskim, na którego rozkazy huknęły strzały karabinowe właśnie wtedy, gdy Adam Chmielowski konno przybliżał się do Chmieleńskiego. Wśród tych grozą przejmujących, świszczących kul, koń Adama, mimo spięcia ostrogami, chwilowo dalej iść nie chciał. »Przeżegnaj się« - słyszy Adam głos w duszy. Na to zuchwały młodzieniec odpowiedział sobie: »skorom się przedtem z pobożności nie modlił, to teraz ze strachu nie będę się żegnał«. I podjechał na pagórek do swego wodza, a stanąwszy obok niego, powiedział: »Czekam na rozkazy«. Chmieleński zaś, patrząc na przebieg bitwy, odpowiada krótko: »Czekaj«. Adam, stojąc tuż przy swoim wodzu, patrzył z boku, jak strzelcy finlandzcy broń powtórnie nabijali, a byli tak blisko, że widział ich twarze wyraźnie i każdy ruch. Straszna znowu była chwila wyczekiwania, bo oto już nieprzyjaciele podnoszą broń do strzału, słysząc ostrą komendę: »Ognia!«. Huk strzałów wstrząsa powietrzem, po zaroślach ukazują się obłoczki dymu, kule świszczą, dziurawią ubrania, nakrycie głowy dwom stojącym na pagórku jeźdźcom polskim, lecz żadna nie była celna. Odetchnął Adam, zawołał znowu: »Czekam na rozkazy«. I usłyszał tę samą odpowiedź: »Czekaj«. Powtórzyła się scena powolnego nabijania broni. Nowa salwa strzałów, ale ten sam wynik, co poprzednio. Nareszcie wódz dał rozkaz Adamowi. Powraca teraz z pagórka na dół. Wtem jak piorun z jasnego nieba pada pod konia Adama przypadkowo gdzieś zabłąkany granat rosyjski i pękając ze strasliwym łomotem, rozszarpuje konia, i potężny odłam granatu, z całą siłą uderzając w obcas buta Adama, wyrzuca zemdłego z siodła na ziemię. Po przyjsciu do przytomności chciał Adam powstać, ale nogą ruszyć nie mógł.*

Leżącego zauważyli towarzysze, a z braku noszy wzięto rannego na broń i tak go zanieśli do najbliższej chaty¹³”. Ponieważ powstańcy musieli dość szybko opuścić ten teren, więc Chmielowski, który nie mógł pójść z nimi, dostał się do niewoli. Miał jednak szczęście bo wpadł w ręce tych, będących na żołdzie Rosjan strzelców fińskich, którzy nie mogąc przy tak dużej ilości wystrzelonych w jego kierunku kul, choćby zranić go, uznali w nim prawdziwego i niedosiętego bohatera. Dowódca Finów dopytywał się, czy miał on jakiś amulet lub czy posługiwał się czarami, ale nasz bohater, odpowiedział mu, że dla ochrony przed kulami, nosił na piersiach szkaplerz Najświętszej Maryi Panny.



Tablica poświęcona Bratu Albertowi rannemu w bitwie pod Melchowem
<https://www.albertynki.pl/brat-albert/brat-albert-zycie/>

¹³ O. Władysław Kluz, *Adam Chmielowski...*, s. 31-32.

Niestety, szybko postępująca gangrena, uniemożliwiła jakąkolwiek pomoc rannemu Chmielowskiemu, by uratować jego roztrzaskaną nogę. Chirurg stwierdził, że nogę trzeba będzie jak najszybciej amputować. Był to szok dla osiemnastoletniego chłopca, niemniej jednak, mimo tego, że operacja miała się odbyć bez znieczulenia, rzekł do chirurga: „»Dobrze! Proszę zaczynać!« Następnie głosem, który bynajmniej nie zadrżał: »Poproszę o cygaro: będzie mi czas szybciej upływał«.

Gest ten wrył się w pamięć jego przyjaciół jako legendarny. Ani jednego krzyku, ani jęku podczas okrutnej operacji. Paląc cygaro stracił przytomność¹⁴», a stało się to w momencie, kiedy chirurg zaczął piłować kość.

W szpitalu wojskowym Adam Chmielowski przeleżał kilka miesięcy. Był tam rosyjskim więźniem, gdyż powstańcy byli traktowani przez carat jako buntownicy a nie jako jeńcy wojenni. Za bunt groziła szubienica a w najlepszym razie katorga na Syberii. Kalectwo nie mogło uratować naszego powstańca. Ale albo dzięki łapówkom rodziny, która przekupiła urzędników carskim albo dzięki pomocy jeńców francuskich, Adam Chmielowski znalazł się pod koniec maja 1864 w Paryżu. Tam nabył bardzo nowoczesną, gutaperkową protezę, która pozwalała mu „*nie tylko swobodnie chodzić i to bez laski, ale nawet tańczyć i jeździć na łyżwach*¹⁵”.

Gdy na wiosnę w roku 1865 ogłoszono amnestię dla powstańców, Adam Chmielowski powrócił do Warszawy. Tu chciał rozwijać swoje, jak sądził, powołanie artystyczne, które już od jakiegoś czasu odczuwał. Kto wie, czy podczas rocznego pobytu w Paryżu, nie próbował się i tam uczyć malarstwa. Mimo olbrzymiego terroru policyjnego i wojskowego jakim poddawani byli mieszkańcy zaboru rosyjskiego, a w szczególności byli powstańcy, nasz bohater „*zapisał się na studia do Szkoły Sztuk Pięknych, do Klasy Rysunku i Szkicowania,*

¹⁴ Maria Winowska, *Opowieść o człowieku...*, s. 21.

¹⁵ O. Władysław Kluz, *Adam Chmielowski...*, s. 36.

mieszczącej się w Pałacu Kazimierzowskim na Krakowskim Przedmieściu¹⁶.
W tym samym czasie, gdy uczył się rysunku *„ukończył gimnazjum i zdobył maturę¹⁷”*.

Rok wcześniej, w maju 1864 roku, w kilku numerach krakowskiego „Czasu” można było przeczytać sprawozdania opisujące wystawę obrazów w Krakowie. Autor tych relacji, Lucjan Siemieński był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i jednocześnie poetą, krytykiem literackim oraz pisarzem, którego książkę o historii Polski zatytułowaną „Wieczory pod lipą” czytywał we wczesnej młodości, sam święty Józef Pelczar, ucząc się z niej patriotyzmu i zamiłowania do historii.

Omawiając obrazy z krakowskiej wystawy, pan Lucjan Siemieński podzielił się z czytelnikami taką refleksją:

„»W każdym rodzaju niezmiennej i gorliwej pracy można się przyczynić do ogólnego dobra. Taka praca stoi na równi z krwi ofiarą, choć w danej chwili nie ściągga na siebie uwagi ani oklasków, nie zostaje dla przyszłości stracona. Nie można zatem utrzymywać, jak się niektórym zdawało, że zwrot ku sztukom pięknym był tylko kaprysem mody. Obecna próba, jedna z najtwardszych, na jaką było wystawione narodowe uczucie, przekonywa o jakiejś głębszej potrzebie ducha, wybierającej język pędzla do wypowiedzenia swoich marzeń, swoich pragnień i ideałów. Kto pozostał przy swojej sztaludze, musiał wierzyć w przyszłość, która nie tylko siłą materialną, ale i siłami wiedzy i talentu zdobywać się winna«.

Autor nawet nie przypuszczał, na jaki wspaniały grunt padnie ziarno jego słowa. W imię takich właśnie haseł Chmielowski wraz z kolegami tego pokroju, co Maksymilian Gierymski, Ludomir Benedyktowicz, rozpoczął wdrażać się w arkana rysunku i malarstwa¹⁸”.

¹⁶ O. Władysław Kluz, *Adam Chmielowski...*, s. 37.

¹⁷ Alicja Okońska, *Adam Chmielowski...*, s. 57.

¹⁸ O. Władysław Kluz, *Adam Chmielowski...*, s. 38.

Jednakże, władze carskie rok później zamknęły tę warszawską Szkołę Sztuk Pięknych.

W tym czasie Adam Chmielowski zaprzyjaźnił się z Ludwikiem Siemieńskim i z jego rodziną. Dzięki tej znajomości uzyskał stypendium od hrabiego Włodzimierza Dzieduszyckiego na wyjazd do Monachium, gdzie mógł kontynuować naukę i doskonalić swoje umiejętności malarskie w uznanej Akademii Sztuk Pięknych. Wyjechał tam jesienią 1869 roku i dość szybko znalazł się w tamtejszym „gronie Polaków malarzy, stanowiących zgraną grupę zwaną »Sztabem«. Głównymi postaciami w »Sztabie« byli Józef Brandt i Maksymilian Gierymski¹⁹”.

Jeden z ówczesnych malarzy studiujących w Monachium, Stanisław Witkiewicz tak opisywał atmosferę wśród swoich kolegów:

„W owym czasie w Monachium, roilo się od polskich malarzy. Byli między nimi i tacy, co, jak Maks Gierymski i Józef Brandt, zajmowali już wybitne stanowisko i między artystami, i na targowisku sztuki, (...) ale byli i tacy, którzy ledwie zaczęli pracować po rozmaitych szkołach Akademii. (...) Ton i stimmung, czyli nastrój, były to wyrazy, które powtarzały echa szarych korytarzy akademii, które słychać było wszędzie, gdziekolwiek się zeszli malarze: na ulicach, w pracowniach i w głębi knajp, przy marmurowych porysowanych stolikach, wśród mgły tytoniowego dymu i wyziewów kawy i piwa.

Wielu z nas, większość, przybywało wtenczas z kraju z głową pełną czysto literackich tematów. Dramatyczne postacie Matejki i jęk duszy zakłęty w Grotgerze, mieszały się z tym, co się czuło samemu, nie znajdując na wyrażenie siebie własnej formy. Człowiek czuł i myślał, ale nie wyobrażał, nie miał plastycznego wyrazu, nie wiedział dobrze, jak się ta treść myślowa da złączyć z zagadnieniami malarstwa. Zetknięcie się z tą sferą, w której chodziło głównie o «ton», o to, jak się maluje, wywoływało u wielu rozczarowanie²⁰”.

¹⁹ S. Magdalena Kaczmarzyk, *Trudna miłość...*, s.27.

²⁰ Andrzej Różycki, *Święty Brat...*, s. 82-83.

Jaki w tym czasie był Adam Chmielowski? Otóż był człowiekiem całkowicie korzystającym z tak zwanych uroków życia.



Adam Chmielowski w czasach gdy był artystą - malarzem

<https://www.albertynki.pl/brat-albert/brat-albert-zycie/>

W Monachium Adam Chmielowski „*rozkoszuje się życiem. Przy czarnej kawie, którą wręcz uwielbia wieździe dysputy o roli sztuki i jej znaczeniu dla narodu. A wszystko w oparach dymu papierosowego kolejnych lampek wina, czy halb piwa. Uwielbia Octoberfest. Kocha życie! Jest bywalcem salonów, artystycznych pracowni, na miejscowym lodowisku jeździ znakomicie na łyżwach...²¹*”.

Ale widocznie taki musiał być, żeby poprowadzić to przyszłe, bardzo trudne dzieło, które Pan Bóg przed nim postawił. Nie dałby rady z ludźmi bezdomnymi, często z marginesu społecznego, poradzić sobie ktoś, kto by był zbyt delikatny i nie znający natury i nałogów ludzkich

Z Maksymilianem Gierymskim, Chmielowski znał się jeszcze ze szkoły w Puławach i z Klasy Rysunkowej w Warszawie, co pozwoliło im obu bardzo

²¹ Michał Rożek, *Święty Brat Albert*, Kraków 2017, s. 27-28.

mocno zaprzyjaźnić się ze sobą na obczyźnie. Nasz bohater podziwiał Gierymskiego, którego prace zdobywały uznanie właściwie w całej Europie. Niemniej jednak, starał się powstrzymywać coraz bardziej sławnego przyjaciela przed komercjalizacją jego prac i przed całkowitym zaprzęciem się tylko temu zajęciu. Chmielowski „*według opinii kolegów – nigdy nie potrafił zniżyć się do dogadzania gustom publiczności, a tym bardziej kunsthändlerów [handlarzy sztuką] (...) [natomiast dla Gierymskiego] daleki staje (...) się świat ludzkich uczuć, ludzkich stosunków, wszystko i wszyscy stają się tylko drogą do celu. (...) Nasilenie jego pracy osiąga maksimum, że poza nią dosłownie »nie widzi świata«²²*”. Tworzy i sprzedaje swoje prace prawie taśmowo. Ta ciągła pogoń za sławą wyniszczyła, zarówno siły fizyczne jak i psychiczne Maksymiliana. Stanisław Witkiewicz dosyć szczegółowo opisał ile tracił energii i co odczuwał Maksymilian Gierymski malując swoje obrazy:

„On wiedział, ile jego szaleństwa, rozpacz, zdenerwowania było pogrzebanych pod tymi warstwami farb, ile burz jego duszy pastwiło się nad tym płótnem, jak straszne stany uczuć, jakie złe myśli, wątplenia, melancholie błądziły po tych zawitych labiryntach dolin i szczytów, z których się składała powierzchnia obrazu. On wiedział, co znaczy zwój poszarpanych, potarganych, zmiętych i postrzępionych płócien, stojący w kącie pracowni. (...) Gierymski całą swoją rozpaczliwą targaninę, cały swój niepokój, wątplenie, to, co on nazywał »katzenjammer«, to jest stan ostatecznego wątplenia, żrącego bólu i pogardy dla siebie i wszystkiego, całą tę chorobliwą grę nerwów wtlaczał jednak w swoją sztukę, w twórczą pracę swego talentu, szarpiąc i niszcząc najlepsze swoje siły w walce, nie tylko bezpłodnej, lecz wprost zabójczej, z przywidzeniami, z nie dającymi się ująć i rozwiązać złudzeniami²³”.

Ta nieustająca praca i te stany doprowadziły do tego, że musiał on rozpocząć kurację leczniczą ale niestety, okazało się, że zbyt spóźnioną.

²² Alicja Okońska, *Adam Chmielowski...*, s. 87-88.

²³ Stanisław Witkiewicz, *Aleksander Gierymski*, Lwów 1903, s. 134.

Maksymilian Gierymski, najlepszy przyjaciel Adama Chmielowskiego „zmarł w jego obecności, w kurorcie Reichenhall 16 września 1874 roku²⁴”. Na pogrzebie Gierymskiego był tylko jego brat Aleksander i dwaj przyjaciele. Jednym z nich był Chmielowski.

„Śmierć przyjaciela pozwoliła Adamowi pojąć że sława i powodzenie życiowe oraz ludzkie szczęście to tylko iluzje. Teraz zaczął szukać wartości nieprzemijającej²⁵”.

Już miesiąc po śmierci Maksymiliana opuszcza on Monachium, gdzie studiował z małymi przerwami przez cztery lata i gdzie przez wszystkich Polaków, którzy mieli z nim styczność uważany był za wielkiego znawcę sztuki. Gdzie każdy uważnie słuchał jego zdania i opinii na temat swoich prac a później starał się te uwagi do swojego malarstwa wprowadzać. Ksiądz arcybiskup, obrządku grecko katolickiego, Andrzej Szeptycki, ten sam, który wyprosił od Adama Chmielowskiego obraz „*Ecce Homo*”, w swoich wspomnieniach o Chmielowskim, przytoczył taką opinię Stanisława Witkiewicza z czasów monachijskich: *„Chmielowski u wszystkich miał reputację znakomitego krytyka (...) tak, że nieraz koledzy przynosili mu czy szkice, czy obrazy, a on robił im swoje uwagi; na te uwagi byli tak wrażliwi, że wystarczyło, by się Chmielowski skrzywił, a obraz był czy przemalowany, czy w ogień wrzucony²⁶”.* Ale, cieszył się on nie tylko opinią wielkiego autorytetu, jako doskonały i szlachetny krytyk lecz również traktowany był *„jako wspaniały człowiek, którego urok osobisty, pogodne usposobienie i życzliwość względem wszystkich zjednywały mu przyjaźń otoczenia. Widziano też w nim poszukiwacza doskonałości nie tylko w sztuce, ale i w życiu²⁷”.*

Po powrocie Chmielowski najpierw przyjechał do Warszawy, później na krótko do Krakowa.

²⁴ Andrzej Różycki, *Święty Brat Albert*, Kraków 2003, s. 86.

²⁵ Michał Rożek, *Święty Brat Albert*, Kraków 2017, s. 27-28.

²⁶ Alicja Okońska, *Adam Chmielowski...*, s. 153.

²⁷ O. Władysław Kluz, *Adam Chmielowski...*, s. 67.

Na dłużej zamieszkał w Zarzeczcu koło Jarosławia, gdzie został zaproszony do „*majątku Stanisława Chojeckiego, ożenionego z najstarszą z córek Lucjana Siemieńskiego Klementyną*²⁸”. Tam miał dużo czasu na swoje malarstwo, co pozwoliło mu namalować przepiękne pejzaże i portrety.

Wtedy też, zgłosił jeden ze swoich obrazów na krakowską wystawę, na którą wcześniej został zaproszony. Jednak po pewnym czasie, jury tej krakowskiej wystawy, w którym zasiadał jego przyjaciel Lucjan Siemieński, „*zażądało wręcz wycofania tego dzieła*²⁹”. Oburzyło to bardzo, Adama Chmielowskiego, który w listach do organizatora wystawy i do samego Lucjana Siemieńskiego, tak tę sprawę ocenił: „*Gdybym pierwszy raz wystawiał i nie był zaproszony, nie miałbym pretensji, ale nim będąc, mam jej troszkę. Nie godzi się, zaprosiwszy kogoś na herbatę, wypchnąć go za drzwi, bo to zawsze nie bardzo jest grzecznie*³⁰”.

Nie dziwnym więc było to, że niedługo po tym wydarzeniu, podziękował za kilkumiesięczną gościnę w Zarzeczcu i wyjechał do Warszawy, omijając Kraków, kojarzący „*mu się z odrzuceniem i poniżeniem, które jako artysta głęboko przeżywał*³¹”.

Tu, w Warszawie, w Hotelu Europejskim mieszkali Józef Chełmoński i Antoni Piotrowski. Ich lokal, który nazywali pracownią znajdował się na poddaszu, tego wówczas najbardziej luksusowego hotelu w całym mieście. Ta pracownia, „*a raczej obszerna izba z oknem od północy, zamieszкана dawniej przez praczki hotelowe, była jednocześnie sypialnią obu malarzy Potem przybył Witkiewicz (...) wreszcie do trójki malarzy, koczujących w tych bardzo prymitywnych warunkach, dołączył się Chmielowski*³²”. I tak go opisał w swoich wspomnieniach Antoni Piotrowski, czyli jeden ze współlokatorów:

²⁸ Andrzej Różycki, *Święty Brat...*, s. 86.

²⁹ Tamże, s. 191.

³⁰ Tamże, s. 192-193.

³¹ Michał Rożek, *Święty Brat Albert*, Kraków 2017, s. 30.

³² Alicja Okońska, *Adam Chmielowski...*, s. 215.

„Odtąd Adam koczował z nami. Przybył jeszcze jeden barłóg. Adam był z nas wszystkich najmędrszy, jako malarz. Chociaż nie mógł nic skończyć i psuł cudowne rzeczy [chodziło o jego obrazy]. Brak nogi dla człowieka o sile bajecznej, który potrzebował ruchu, wywoływał dolegliwości żołądka, te znowu wpływały na humor. Adam miał często »Katzenjammer«, od niego dowiedzieliśmy się o istnieniu tego potwora, który grasował między monachijczykami, którzy, jak opowiadał Staś [Witkiewicz] w mowie wiązanej: »I oczyszczali z wymiotów baleje«. Była to aluzja do podłej bawarskiej kuchni.

Gama tonów kolorowych u Adama była tak wielką, że potrafił zrobić w takim otoczeniu »ochrę żółtą« (kolor jasnej gliny) że wydawała się zupełnie białą, jak papier, albo zielony zimny veronez, również biały.

Nic bardziej nie wyprowadzało Adama z zawias, jak dysharmonia barw. Z tego powodu zaczęliśmy powtarzać zdanie śp. Maxa Gierymskiego:

»Mówilem temu bałwanowi, żeby tu zielonego nie pakował!«

Gdy zobaczył jaki fałszywy ton, krzywił się niemiłosiernie, jakby zgryzł pieprz i psuło mu to humor na jakiś czas.

— Weź bałwanie beinszwarcu z białą.

Gdyś wziął beinszwarcu z białą, od razu było dobrze !

Był to dalszy ciąg szkoły Maxa Gierymskiego, najsubtelniejszego mistrza tonów, jaki w ogólności był w malarstwie³³”.

W roku 1876 w piśmie Ateneum Adam Chmielowski zamieścił artykuł zatytułowany „O istocie sztuki”. Napisał w nim między innymi:

„Tym bardziej praca na polu estetyki ciekawa i pożyteczna, bo sztuka wiecznie żyje, chyba by duch świata, który życie powoduje, uleciał. Sztuka jest tego ducha objawem — za taki uważały i uważają ją wszystkie podniosłejsze umysły. (...) Jest wprawdzie w pewnej sferze moralnej teoria, która chce widzieć w sztuce rozrywkę umysłu, albo pożyteczną służbę nauki moralności, polityki, nareszcie religii, Nie

³³ Antoni Piotrowski, *Józef Chełmoński Wspomnienie*, Kraków b.r., s. 15. Dost. na str. <https://polona.pl/archive?uid=89763991&cid=100972072>

sądzę jednak, aby było właściwie rachować się z takimi teoriami — albo dyskutując je wkraczać w dziedzinę pojęć, z których te teorie wypływają; — za ciasny to świat. (...) Istotą sztuki jest dusza wyrażająca się w stylu³⁴”.

Takie poglądy powstawały u Adama Chmielowskiego podczas wielu dyskusji ze Stanisławem Witkiewiczem. W Warszawie, podobnie jak w Monachium, nasz bohater był olbrzymim autorytetem oraz „wyrocznią dla młodych malarzy i bez oporu z ich strony przejmował kierowanie artystycznymi pracami kolegów. Wtedy – jak opowiadał Wyczółkowski – nazywaliśmy go »ojciec Platon«, bo filozofował ponad miarę naszych głów³⁵”.

Posłuchajmy jego rozważań, które snuje po zadaniu następującego pytania: „Czy sztuce służąc Bogu też służyć można?

Chrystus mówi, że dwóm panom służyć nie można. Choć sztuka nie mamona, ale też nie Bóg; bożyszcze prędeej. Ja myślę, że służyć sztuce zawsze wyjdzie na bałwochwalstwo, chyba jak Fra Angelico sztukę i talent i myśli Bogu ku chwale poświęcić i święte rzeczy malować; ale trzeba by na to, jak tamten, siebie oczyścić i uświęcić i do klasztoru wstąpić, bo na świecie to bardzo trudno o natchnienie do takich szczytnych tematów³⁶”.

Tak wtedy mówił nasz święty o sztuce, ale czy to służenie dwom panom, dotyczy tylko sztuki, czy przypadkiem nie dotyczy ono każdej dziedziny, czy też, jak to obecnie nazywamy, każdej pasji człowieka?

Przebywający w tamtych czasach w Warszawie artyści, nie budzili wśród mieszkańców większego zainteresowania. Ich „obrazy nie znajdowały nabywców, prasa milczała, nawet obrazy Chelmońskiego odrzucała »Zachęta«, na której ścianach roilo się od pseudohistorycznych dzieł. [Dlatego też na drugim piętrze Hotelu Europejskiego, kolekcjoner Aleksander Krywult, stworzył tak zwany »salon odrzuconych«, gdzie prezentował między innymi, właśnie dzieła

³⁴ Ks. Alfons Schetz, *Nasza przeszłość* t. 21, Kraków 1965, s. 158, 159, 161.

³⁵ Alicja Okońska, *Adam Chmielowski Brat Albert*, Warszawa 1999, s. 219.

³⁶ Ks. Konstanty Michalski, *Brat Albert*, Kraków 1986, s. 45.

modernistów odrzuconych przez konserwatywną »Zachetę«.] (...) Jedną z nielicznych osób, które interesowały się sztuką młodych malarzy i usiłowały im pomóc, była Helena Modrzejewska, przeżywająca wówczas w Warszawie okres największej sławy i popularności³⁷”.

Helena Modrzejewska, żona ziemianina Karola Chłapowskiego, miała uznaną i wysoką pozycję towarzyską w Warszawie. A mimo tego, „nie ograniczała swoich znajomości do kręgu osób zamożnych i wpływowych. Na jej wtorkowych przyjęciach w salonie Chłapowskich, na ulicy Granicznej, bywali nie tylko dygnitarze, bankierzy i ziemianie, ale również pisarze, uczeni i artyści, nawet tak skromni i mało znani jak czwórka malarzy z Hotelu Europejskiego. [Tak wspominał to jeden z tej czwórki, cytowany już wcześniej Antoni Piotrowski:] Na jej [czyli Heleny Modrzejewskiej] salonach, w których gromadziły się finanse i arystokracja, widywano brudnego Chelmońskiego i bluźniercę (bo chodził w płóciennej niebieskiej bluzie) Witkiewicza i Adama z drewnianą nogą, który mówił po francusku jak Flaubert [czyt. Flober; Gustaw jeden z największych mistrzów literatury francuskiej].

Bankierowie patrzyli na tę trójkę i w duchu dziwili się, że jednak pani Helena ma dziwaczne gusty co do wyboru znajomości, a nie wiedzieli, że to była wybrana drużyna najlepszych i najtęższych umysłów w Polsce³⁸”.

W roku 1878 Adam Chmielowski odbył podróż do Włoch a po powrocie zamieszkał we Lwowie, gdzie zaprzyjaźnił się z Leonem Wyczółkowskim.

Wówczas „był w szczytowym okresie twórczości malarskiej³⁹”, namalował wtedy, w dość krótkim jak na niego czasie, pięć swoich obrazów olejnych, z których dwa były o tematyce ściśle religijnej. „Pierwszym religijnym obrazem Chmielowskiego był olej *Wizja świętej Małgorzaty*⁴⁰”, a drugim był „najbardziej

³⁷ Tamże, s. 220.

³⁸ Tamże, s. 221-222.

³⁹ O. Władysław Kluz, *Adam Chmielowski...*, s. 101.

⁴⁰ Tamże, s. 103.

religijny obraz – Chrystusa w cierniowej koronie – *Ecce Homo*⁴¹”. Był to obraz, który najbardziej ukochał, „który malował kilkoma nawrotami i który (...) przedstawia Chrystusa (...), ubiczowanego, sponiewieranego, ze spuszczoneymi oczyma, takiego, jakim przedstawił go Pilat tłumowi mówiąc: *Oto Człowiek. Czerwona chlamida, opadająca z ramion, tworzy ogromne jasne serce. Chrystus zda się mówić z tego obrazu: Tak cię ukochałem!*⁴²”.



<http://www.albertyni.opoka.org.pl/bralbert.html>

Warto tutaj przytoczyć słowa modlitwy ułożonej przez Brata Alberta, odnoszącej się do obrazu "Ecce Homo": „*Królu Niebios, Królu cierniem ukoronowany, Ubiczowany, w purpurę odziany – Królu Niebios znieważony i oplwany - Bądź Królem i Panem naszym, tu i na wieki. Amen*⁴³”.

Obraz ten, jak już wcześniej wspomniano, wyprosił dla siebie, unicki

⁴¹ S. Magdalena Kaczmarzyk, *Trudna miłość...*, s.38.

⁴² O. Władysław Kluz, *Adam Chmielowski...*, s. 105-106.

⁴³ <https://www.albertynki.pl/brat-albert/obraz-ecce-homo/>

metropolita halicko-lwowski, ksiądz arcybiskup Andrzej Szeptycki.

Obecnie to wspaniałe dzieło znajduje się w Sanktuarium Ecce Homo Świętego Brata Alberta w Krakowie przy ul. Woronicza 10. Tam również znajdują się relikwie świętego.



Sanktuarium_ołtarz
<https://www.albertynki.pl/duchowosc/>

W tym czasie, kiedy Adam Chmielowski przebywał we Lwowie, rozpoczęła się jego wielka przemiana duchowa.

W listopadzie 1879 roku udał do Tarnopola gdzie wziął udział

w trzydniowych rekolekcjach u Jezuitów. A rok później, dokładnie 24 września 1880 roku, mając 35 lat i będąc „w pełni rozwoju artystycznego Chmielowski wstąpił do zakonu Księży Jezuitów w Starej Wsi. (...) Było to wielkim zaskoczeniem dla jego rodziny i przyjaciół⁴⁴”.

A część powodów, dla których to uczynił już żeśmy usłyszeli, bo wyłuszczył je sam Adam Chmielowski w cytowanym na wstępie liście. Wysłał on trzy takie listy, jeden do wspaniałego malarza batalisty Józefa Brandta, w którym napisał: „W myślach o Bogu i przyszłych rzeczach znalazłem szczęście i pokój, którego daremnie szukałem w życiu. (...) Kładę habit zakonny, żebym miał reguły życia i obowiązki, które by mi nie pozwalały upadać coraz niżej, bo każdy człowiek upada własnym ciężarem, jeśli nic go nie podtrzymuje i do Boga nie zdąży⁴⁵”.

Drugi list wysłał do Józefa Chełmońskiego, którego mocno namawiał do spowiedzi i którego nawracał takimi słowami: „jeżeli z Panem Bogiem związek zerwałeś, zawiąż go na nowo i żyj jak prawy syn Boski. Kto z Bogiem zerwał, zawiązał z kimś drugim. (...) Nie ma nic trzeciego – ani tu, ani tam – jest tylko Bóg albo diabeł⁴⁶”.

I w dalszej części tego listu tak pisał:

„Religia znowu nie wiąże ciała i materii z Jej Stworzycielem, bo to nie jest podobną rzeczą, ale wiąże religia duszę z Panem Bogiem wiecznym węzłem. A Kościół znowu katolicki to nie budynek z lichymi najczęściej obrazami, w który się często modlą fałszywe dewotki i wielu do niego zapisanych katolików fałszywych, gdzie znaleźć też można złych i głupich księży, ale Kościół to jest sukcesja nieprzerwana świętych: ludzi, czynów zasad, która łączy w jedną całość mnóstwo ludzi, którzy żyli na świecie od dawna i żyją, niektórzy są w niebie i w czyśćcu, inni na ziemi, a wszyscy są złączeni w jednym duchu, wspomagają się wzajemnie i ze sobą komunikują. To jest Kościół katolicki, święte ciało, choć

⁴⁴ O. Władysław Kluz, *Adam Chmielowski...*, s. 106.

⁴⁵ Tamże, s. 107-108.

⁴⁶ Tamże, s. 109.

w nim dużo członków chorych albo umarłych⁴⁷”.

Trzeci list, ten w części już cytowany, był do Heleny Modrzejewskiej. Jednakże był on wysłany w liście do Józefa Chełmońskiego, prawdopodobnie dla tego, że „*przełożeni nowego kandydata uważali, że nie wypada, aby kandydat na zakonnika – jezuitę korespondował z osobą płci odmienną i w dodatku aktorką*⁴⁸”. Do wszystkich tych listów dołączał książeczkę księdza Henryka Jackowskiego zatytułowaną „*Rozważ to dobrze. Myśli zbawienne dla dobrych i złych*”. W tej książeczce miały być dokładnie wyłożone powody, dla których ludzie wstępują do zakonów.

W październiku 1880 roku odbyły się obłóczyny Adama Chmielowskiego. Niestety, w kwietniu następnego roku, podczas rekolekcji wpadł w jakąś dziwną melancholię, z której nie umiano go wyzwolić. Postanowiono wydalić go zakonu, a powód zapisano w katalogu nowicjuszy takimi słowami: „*dimissus ob morbum – praecipue ob perturbatam rationem – wydalony z powodu choroby, a zwłaszcza z powodu zaburzenia umysłowego*⁴⁹”.

Różne są przypuszczenia dotyczące tej depresji u Adama Chmielowskiego. „*Mówi się o skrupułach i silniejszym wstrząsie*⁵⁰”. Ale najbardziej prawdopodobne wydaje się to, co opowiedział wspomniany już spowiednik brata Alberta, ksiądz Czesław Lewandowski. Otóż, dużo później, kiedy jeden z braci Albertynów miał problem z paleniem papierosów, brat Albert powiedział mu: „*Niech brat pali, bo z nerwami trudno walczyć. Dodał, że i on w nowicjacie w Starej Wsi z nerwami chciał walczyć, ale mu się nie udało. Obiecał Panu Bogu, że się wyrzeknie bezwzględnie palenia tytoniu, a jednak go kiedyś skusiło. Zobaczywszy niespodzianie niedopałek podniósł go gorączkowo i niemal w jednej chwili w siebie wchłonął. A wtenczas odezwał się silny wyrzut: »Coś ty*

⁴⁷ *Pisma Adama Chmielowskiego (św. Brata Alberta) (1845-1016)*, Red. s. Assumpta Faron, Kraków 2004, s. 77.

⁴⁸ S. Magdalena Kaczmarzyk, *Trudna miłość...*, s.40.

⁴⁹ O. Władysław Kluz, *Adam Chmielowski...*, s. 113.

⁵⁰ Ks. Konstanty Michalski, *Brat Albert...*, s. 48.

zrobił? To ty tak dotrzymujesz obietnicy Panu Bogu?« Uraz poszedł głęboko w duszę i trudno mu go było zneutralizować. Nadeszły długie rekolekcje i w pierwszym tygodniu doszedł w medytacji o śmierci do chwili, kiedy zagęścily się mroki. Nastąpiło wielkie doświadczenie Boże...⁵¹”.

W takim stanie załamania umieszczono go w zakładzie dla umysłowo chorych w Kulparkowie koło Lwowa. Tam, po zdiagnozowaniu u niego obłądu religijnego, lęku, hipochondrii i tym podobnych schorzeń psychicznych, przebywał ponad pół roku.

W styczniu 1882 Stanisław, młodszy brat Adama Chmielowskiego zabrał go do dzierzawionego przez siebie majątku w Kudryńcach nad rzeką Zbrucz.

⁵¹ Tamże.